

To ustawa będąca swoistą konstytucją dla sądów rejonowych, okręgowych i apelacyjnych (sądy wojskowe, administracyjne czy Sąd Najwyższy działają na podstawie innych przepisów). Ustawa określa, jak sądy są zorganizowane, finansowane, kto nimi kieruje, a kto czuwa nad tym, by cała machina działała sprawnie. Bo sądy, choć niezależne, nie są zawieszone w próżni. Merytoryczny nadzór sprawuje nad nimi Sąd Najwyższy (czyli, mówiąc obrazowo, dba o jakość wydawanych orzeczeń), a administracyjny – minister sprawiedliwości (tzn. dogląda warunków pracy i sposobu zarządzania jednostkami). W tym drugim przypadku wbrew pozorom nie chodzi tylko o zapewnianie sądom odpowiedniej liczby biurków w wyremontowanych budynkach czy właściwej obsady w sekretariatach. Środowisko sędziowskie od lat przekonywało, że ministerialny nadzór to fortel, za pomocą którego politycy mogą wywierać wpływ na to, jak orzekają sędziowie. Bo mając władzę decydowania o podziale pieniędzy czy kontrolowania sądowych statystyk, stają przed pokusą uzależnienia od siebie prezesów sądów o giętym kręgosłupie. Takich, których symbolem stał się sędzia Milewski. Dlatego też sędziowskie stowarzyszenia opowiadały się za tym, aby nadzór administracyjny nad sądami powszechnymi przejął SN. Ale kolejni szefowie resortu sprawiedliwości nigdy nie zamierzali w tej kwestii ustąpić. Wręcz przeciwnie, raczej sami dążyli do rozszerzenia swojej kontroli nad sądownictwem.



[Całość: kliknij tutaj](#)